

Nr 4.

PONIEDZIAŁEK.

DZIA 1 LIPCA 1839.

Przedpłata na 12 półarkuszy wynosi we Francyi fr. 5, za granicą złotych. 12.



Pszonka wychodzi raz na miesiąc, to jest: 1° każdego miesiąca.

Zgłaszać się do wydawcy (franco) pod adresem Mr Pszonka, Polonais, au café du Miroir, à Strasbourg (Bas-Rhin).

PSZONKA.

BABIN TRYUMFUJĄCY

CZĘŚĆ I

OSTATNI CHŁOP W POLSCE.

Gdy wrócimy do Polski, natenczas rozwijając główną myśl ustawy 3^{go} maja, będziemy tylko exekutorami testamentu, którym naród w sejmie czteroletnim sam siebie reorganizował przed śmiercią. Kardynałne dyspozycje tego testamentu są takie, ażeby cała Polska w poprzek i na podłuż była wybrukowana herbami, i cała, jak niegdyś Szkocya, pokryta jedną ośłą skórą, jednym szlacheckim dyplomatem.

Słowa wyjęte z ewangelii M. MOCHNACKIEGO.



DIKIEC mój był chłopem z Krakowskiego, gorąco kochał Polskę i mnie toż samo uczucie wszczepił od dzieciństwa, a dawszy do szkół, gdzie się trochę poduczyłem, rzekł: Weź karabin, a ujdiesz niewoli poddaństwa. Uczyniłem co chciał; służyłem pod Konstantym, walczyłem w rewolucyi, poszedłem do Francyi, ztamtąd z Zaliwskim nowu do Polski, a z Polski na Sybir. Opatrzność zachowała mię od knutów lub stryczka.

Na posileniu wyznaczono mi kawał ziemi i kazano strzelać sobole; zbndowałem jurtę i wiodłem życie pastersko-myśliwskie.

W sąsiedniej hordzie Ostyaków był szaman, starzec wieku Melchizedecha; polubił mię, przybrał za syna, i nauczył żyć długo, a najbardziej pocziwie.

Po jego śmierci horda obrała mię swoim naczelnikiem. Moje rządy były, że nzyję słów cara Mikołaja, przedłużeniem rządów nieboszczyka. Posiadając jego sztukę rządzenia, a nade wszystko tajemnicę przedłużania żywota, władałem tym lndem z górą sto dwadzieścia zim. Jednostajność wypadków w mojem państwie lodowem tak niczem niebyła zakłócona, że tylko jaka gwałtowna zmiana w powietrzu stanowiła w na-

ODDZIAŁ I.

szych kronikach nowy okres; dla tegoteż czas ten przeleciał mi daleko rącej i weselęj niż innym (jak sobie przypominam) enropejskim królom dzień jeden.

Z ojczyzny mojej żadne niedochodziły wieści, przestałem nawet tęsknić za nią, odkąd silniejsze uczucia i obowiązki związały mię z nowym narodem; czasami tylko brała ciekawość: co też się stało z biedną naszą Polską? jak i kiedy tułacze wrócili? czy Moskale pobito i z granic wyparto? jakie tam rządy? czy lud wolny i równy? czy tyle poniesionych ofiar odrodziło tę ziemię? Od sąsiadujących z nami Moskali niepodobnaż było czego się dowiedzieć, bośmy uciekali od nich jak od dżumy, przegradzając się nieprzebytymi lasy i wielkimi stepy, i tylko czasn płacenia im daniny ze skór miewaliśmy chwilową styczność. Co zaś do rodaków moich, osiedlonych na Sybirze, trudno było co powziąć; nowi nieprzybywali, a o dawniejszych mieszkańce tylko przez tradycyę opowiadali, pokazując łańcuchy i kości.

Przeżywszy już tak trzy pokolenia. pewnego razu, gdym siedział przed swoim jurtęm i rozmyślał nad tém, co stanowi szczęśliwość narodu, postrzegłem kilku pasterzy wiodących człowieka w osobliwszém nbraniu. Stawionego przede mną zapytałem: Co za jeden? Odrzekł: Poseł carski. Po co przychodzi? Z ulaskawieniem dla miateżników Lachów; dwa bowiem cary: polski i moskiewski pogodzili się, i w skutek długich dyplomatycznych nkładów zastrzegli między innymi warunek nwolenia Lachów zasłanych na posilenie. Jeżeli zatem są jacy, mogą wracać; car wspaniałomyślny z własnej karni daje po dwie kopiejki na strawne i podorożne.

Odpawiawszy posła, pomyślałem: rychło w czas opamiętali się, wolność zwiastując kościom wybielałym od mrozów, i półtorasto-letniemu starcowi, z brodą i głową bielszą od świeżo upadłych śniegów. Cóżto za Polska być mnsi? jaki to car nią włada? I uczucia do rodzinnej ziemi, które myślałem, że na wieki już zgasły w tych śniegach, podrażnione ciekawością, uwiadzione wyrazem uprawnionej wolności (choć byłem wolnym śród wolnych), zaczęły wręć w staręj mój pierś, mierzyć drogę do Polski, witać jej ukwiecone łąki, pszeniczne łany, pieścię krakowskich chłopków, kościołek wiejski, gdzie przy dźwięku organów tak się serdecznie modliło...

Cała przeszłość jakby wczorajsza głośno zakolatała do serca, niby potępieniec, co ci niedaje spoczynku, dopóki nie zrobisz coś dla jego zbawienia. Rozmyślałem się. Wyraz ojczyzna zaginął sto dwudziestoletnie błogosławieństwo moich Ostryków. Wróć do kraju!

Zwołać horde, wskazać godnego po sobie następcę, rozstać się ze łzami, wsiąść w kibitkę i pędzić, pędzić wciąż w zieleniejsze coraz ziemie, oto wszystko co półtorawieczny starzec zrobił, dla pokrycia przynajmniej swych kości ziemią proszowską.

Feldjeger, który mi towarzyszył w przejeździe przez carstwo moskiewskie, bronił mówić, tłumacząc, gdy pytał o przyczynę, że ja stary *miałeżnik* zbuntowałem poddanych gosudarowi; dla tego też ciekawości nigdzie nie mogłem zaspokoić. Lecz kiedyś przybyli nad Dniepr, uradowała się dusza moja: na drugim brzegu uściskam cię ziemio ojców moich. Przeprowadzamy się, a ja z radośnym okrzykiem: Teraz mię puścisz, bo tu Polska! *Pastoj! eto wśio carskie!* Wszystko jak wszystko! ożwał się z urazu jakiś z kozacka ubrany jego-mość, narzeczem małoruskiem, przyprowadzonem do wykintności *Eneidy* *ntcowanej* KOTLARIEWSKIEGO, a obracając się do mnie: Wy zamorski człecz, nieznacie zapewne naszej historii, dowiedzieć się więc, iż to jest w. księ. rnskie z księciem udzielniem pod gwarancją cara moskiewskiego, podobnie jak w. księ. litewskie; wszystko to stało się w skutek dyplomatycznych układów króla Lechii, niechającego naruszać naszych narodowości prowincjonalnych.

— A gdzież się Polska zaczyna?

— O ho! ho! daleko. Za Sanem macie dopiero królestwo Lechii, Lechii, powtarzam, wyraz bowiem Polska, dziś jest bez znaczenia.

— Jako! zawolałem, więc ta jedność polityczna, łącząca od wieków te ludy pod godłem wolności?...

— Zerwana! odrzekł z dumą mój Rusin, zerwana! dzięki wielkiej myśli rzucanej przed sto kilkadziesiąt laty w *Komitecie ziem litewskich i ruskich*. Dzisiaj tworzymy osobny naród, mamy swojego księcia, swój dwór, swoją literaturę, swoje sztuki piękne, historię, teatr.

— A swobodę macie?

— Pst! — i położył palec na ustach: widzę szpiega-jak milczkiem czai się ku nam...

— Uciekajmy! jedźmy! krzyknąłem na mego przystawę; i tu raz pierwszy od wyjazdu zaatakowałem go za moim Sybirem.

Toż owe pomysły wyrabiane na naszym tulaństwie, toż owa wiara w wolność i braterstwo ludów, toż owa żądza reformy przemawiająca równie przez najmędrze jak najgłupsze głowy, toż tyle krwi, tyle łez męczeńskich wylanych przez naród rozpięty na krzyżu, przesunąć się miały jak grzmieca chmura, co niespuści deszczu na spragnioną rolę? A przecież pomyśl, co ówczesni filozofowie mawiali: ludzie, narody giną — pomysły nigdy. Nie, nie, być niemożę, oddalenie fałszuje ci przedmioty; tyś stary, zdziczały na stepie, widzisz same cienie i zarysy, barw niepoznajesz. A jako z jednego kwiatu słożyć i truciźna, tak z jednego serca smutek i pociecha tryska. Pocieszyłem się jak mogłem, wzbraniając sobie wszelkich przedwczesnych reflexyj, i w takim usposobieniu stanąłem na granicy tak zwaną Lechii.

Ogromny orzeł biały, lecz z nieziemnie rzadkimi piórami, niby gęś podskubana, powitał mię ze szczytu komory celnej. Rój strażników otacza mię, zapytując o paszport, o zakazane towary; mierzą, zazięrają w oczy, świdrują głomoki; w końcu zapytują z urzędową powagą: azali nieprzemycam zakazanych broszur?

— Zakazanych broszur?! Toż jeszcze mogą być zakazane broszury? Wszakże wolność druku?...

— Widąc, że jego-mość gdzieś z Czerkiesy przybywa, zawołano ze śmiechem, i przetrzasano manalki.

— Zdziwiony, przysuwam się do jednego z obojętnych widzów i zapytuję: jakiego mogą być broszury?

— Dorozumiewam się, żeś W. Pan Dobrodziej albo z daleka bardzo przybył, albo grasz franta. Odpowiedzieć jednakże mam sobie za obowiązek, wnosząc z miny, żeś nie dzisiejszy ale starodawny jak ja szlachcic; dowiesz się więc, że broszury, tak starannie przez rząd posznkiwane, drukują się w rzezypospolitej czerkieskiej; tak bowiem schroniła się cała

emigracja moskiewska po upadku rewolucji petersburskiej, i naszych malkontentów tam nie mało.

— Rewolucja petersburska! Rzeczpospolita czerkieska! Więcej nie mogłem wymówić, uderzony taką nowością zdarzeń, i stałem w osłupieniu, gdy w tym jeden z urzędników zbliżył się, rozwinął papier i ogłosił w imieniu Najjaśniejszego z beżej łaski, szczęśliwie nam panującego Adama IV^{go}...

— Adama IV^{go}? Ha! ha! ha! czysta komedia! czy to nie jaki prawnuł księcia Adama?...

— Mospanie! krzyknął piorunująco nrzędnik, drwinki z monarchy! *crimen lese majestatis!* Modlin! Zamość! Częstochowa! fortece i kryminaty! czy wiesz, czym to pachnie?

Zmówiłem na niewiadomość, i starość; on zaś wolniejszym nieco tonem oświadczył, że pod ścisłą eskortą mam być dostawiony do stolicy królestwa.

— Pod eskortą? wszakżem ja tu po wolność przyjechałem... odpowiedziałem protestując.

— Patrzcie-no czego się chce staremu? a potem, przystępując do mnie, i kładąc jak łopatą w głowę: Staruszu! widać dawne pamiętacie czasy, dziś inaczej; dziś najwyższa wolność upersonifikowana jest w monarsze; kto bliżej niego, więcej jęj posiada; kto dalej, mniej. Niech to wam służy za radę i przestrożę. Bywajcie zdrowi! Ruszaj! krzyknął. Porwano mię; nsiadło dwóch żołnierzy z gwardyi wolności i porządku, tak bowiem przewano dawniejszych żandarmów, i wózek potoczył się ku Warszawie.

W ciągu drogi, wiodącej przez znane mi dawniej okolice, dostrzegłem wielkie odmiany, nie żeby pola były starannie naprawne, wleś lepiej zabudowane, gościńciami, lud wesołszy, czerstwiejszy i lepiej okryty niż za moich czasów; przeciwnie, obszary gruntów stały odłogiem, miasto wiosek szafasy lub budy garnące się pod mury spaniatych dworów, a lud bosy, obdarty i wychudły, ale z wyrazem jakiegoś głupiej dumy parzył się na skóciach, jak włoskie lazarony. Za to ze wzgórzów połyskały dachy wieżyc zamkowych, milowe ciągnęły się parki, zwierzyńce, stawy, wodociągi. Minałeś to siedlisko pańskości i zbytku, zaczynała się kraina śmierci jak kampanie około Rzymu.

— O boże! zawolałem, jakieżto pomysł rozwinął tę cywilizację, jakiego rodzaju postęp przodkuje tej społeczności?! Ale, postanowiwszy sobie nuniak wszelkich nwag, patrzyłem ciekawie, iście by dziecię, co się dopiero narodzi, czekając póki mię albo kto nieobjaśni, albo sam zagadki nierozwiążę.

— Otóż i Warszawa! wykrzyknęli moi towarzysze, kiedyśmy wyjeżdżali z nieśmiertelnych piasków Jezierny. Zelektryzowały mię te słowa, stanąłem na półdrabku mojego wozu, i, pół zdziwiony pół rozplakany, ujrzałem przed sobą ogromne wieże, obeliski, gmachy zamczyste; na pierwszy rzut oka zdawało mi się, że to miasto, dziecięciem zostawione przeze mnie, urosło teraz w olbrzyma; ale za to jakże zeszczepiało, bo przypominając sobie miejsce rogatki willanowskich, gdzie na Konstantego chodził na wartę, postrzegłem, że dzisiejsza brama o dobrych parę stajów cofnęła się ku miastu.

Po zwykłej ceremonii przy rogatkach: zkad? jak? po co? jechaliśmy wprost do królewskiego zamku, bo taki był rozkaz. W przejeździe przez ulicę najgłębszą panowała cisza; jeżeliś spotkał, to osoby wykintnie ubrane, i łachmany nędzarza szukającego cienia pod jaką wystawą. Omnibusów, dyliżansów niewiadać; za to bronzowane pojazdy ogalonowanej liberyi i laufrów, lub lektyki na barkach Mnżynów. Owego ulicznego gwaru, natłoku, psotnych panprów, kłótliwych przekuppek i walecznych szewczyków, już aui zoczyłem. Uderzyło mię także, iż wszystkie domy szły pod linię, jednej prawie struktury, a wiele, czyto dla oka, lub symetrii, składało się tylko z naczelnego muru, ze ślepieni oknami. Przysłowie mówi: *Pozory mylą*, ale tu wszystko technię taką prawdą pozoru, żem zaczął wątpić o dobroci moich zmysłów. Zgola, gdybym był niewiedział, że to Warszawa, ta sama Warszawa, co tyle odegrała rewolucyj, nigdy byłbym się do niej nieprzyznał, bo ledwie w placach publicznych ślad jakiegokolwiek pozostał; kolumna nawet Zygmunta poskoczyła wyżej o kilkadziesiąt łokci, a to przez dodanie ogromnej z jednego glazu podstawy, ozdobionej płaskorzeźbą, na której zdalca postrzegłem obok zbioru i buzdycanów hetmańskich cme Jezuitów.

Wjeżdżamy do zamku; o kłóży go poznał?! jaki ogrom! kilkadziesiąt kolumn biegnie ku Wiśle, kilkadziesiąt ku staremu miastu; gmach ś. Jana wygląda przy tym Watykanie jak domurwana kapliczka. Przechodzimy jedną bramę, przechodzimy drugą, i trzecią, ogromne dziedzińce, a wszędzie gwardye z halabardami szwargocące z niemiecka, to Mamelucy z turecka; a wszędzie chmura lokai, laurów, hajduków, Murzynów, karłów. A co krok, to melduj się, i daj się przetrząsać, czy nie masz zabójczego narzędzia. Nakoniec po długich ceregielach dostaliśmy się do wielkiego przedsionka. Tam już sami szambelanie, mistrze ceremonii, kamerjunki, paze. Napociwszy się raz z nudów, drugi, że mię jak rarbga oglądali, zostałem nakoniec uwiadomiony o wielkim zaszczycie stawienia się przed obliczem Najjaśniejszego Pana. Rozśmiałem się w duchu, niemając nigdy krótów za coś więcej, jak kozia pentelkę; toteż najmniej frasowałem się, podczas, kiedy panowie dworscy składali walną radę, czy mam być przedstawiony w moim sybirskim kaflanie podbitym sobolami, z moją po pas brodą, czy wyfrakowany, ogolony, i w upudrowanej peruce; po długim *pro i contra* stanęło, że tą razą można od etykiety odstąpić.

Przebywszy kilka sal wspaniałych jedne nad drugie, znowu zatrzymaliśmy się, gdy w tém wyszło z pobocznego gabietu kilku uhaftowanych panów i dwóch duchownych. Oko moje odgadło zaraz synów Lojoli, chociaż dziś nie na dwóch ramionach, ale na jednym nosili płaszcz, co miało być znamię ugrunтовanej władzy zakonu. Ci, otoczywszy mię, obsypywali zapytaniami, na które wszakże odpowiadałem z trudnością, gdyż język ich, z brzmienia niby polski, tak był nastrojony to francuszczyzną, to łaciną, że dawniejsze makaronizmy blade przy tej pstrokatej mowie. Między innemi pytaniami zagadnięto o herb. Odrzekłem: moje herby na piersiach! które odkrywszy, policzyłem rany odebrane w rewolucyi.

—Więc jesteś chłop?

—Z dziada, pradziada, i to krakowski.

—Chłop! chłop! krzyknęli wszyscy, i zaczęli się zbiegać jak na dziwisko.

—Ostatni chłop polski!

—Jaka radość dla Najjaśniejszego Pana!

—Ministrowie byli już w kropocie, czém sejm zabawić, który od rana do wieczora ziewa, odkąd wyszedł ukaz kasujący opozycję; a teraz wyborna gratka się trafia.

—Debaty nabiorą ogromnego interesu.

—W rzeczy samej poszlachciwszy nawet Cyganów doszliśmy do kolumn berkulesowych postępu.

—O nieporównany staruszek! niebo użyczyło ci długich dni, abyś nas z ogromnego kłopotu wybawił.

Wielcy ci dygnitarze ledwo że mię nienosili na rękach; jedni obiecywali protekcyę, drudzy urząd dochodny, inni zapraszali na wieczory, obiady. Nieboby tym oświadczeniem końca, gdyby nie przybycie szambelana z wezwaniem do króla. Otwarto podwoje; wszedłem do zaciemnionj komnaty, mistrz ceremonii kazał mi oddać kilkanaście pokłonów przed jakąś pękatą figurą w szlafroku, z zaspaniem oczyma, choć już dobrze było z południa. Było sam monarcha. Powierzchność jego wcale mi nieprzypadła do gustu, niezmiernie bowiem otyły, cera jak najana, oczy mdłe, siwawe; zawinięty w szlafroku nieruszał się, ale jeździł w krześle na kółkach. Około niego kręciło się kilka bardzo pięknych pań, niby pierwszych ministrów, które, wraz z dwoma Jezuitami, tłumaczyły mu rzecz każdą i zgadywały jego rozkazy lub odpowiedzi. Za moim pojawieniem się ten to, ten owo, zaczął mi prawić o mnie; widać, że coś go ucieszyło, bo z uśmiechem, podobnym więcej do skrzywienia się, powiedział: Pokażcie! Kazano mi się zbliżyć. Prześliczna starość! zawołał, módlcie się księżę kaplaule, abym i ja takiej doczekał! Taki był koniec audyencyi, a ja gniewny mruknąłem pod nosem: Zkąd wyrywaliście takie nieme diable?

Zgłodniały i zmęczony przeklinałem w duchu, i mówiłem: Jak się teraz obróć? Ale kilku z dworskich, postrzegłszy moją kwaśną minę, przybiegło z pocieszeniem, iż będę podejmowany kosztem Najjaśniejszego Pana aż do chwili pasowania mię szlachcicem, co miało nazajutrz nastąpić; o dalszym zaś moim losie, mówił ów pocieszyciel, pomyśli To-

warzystwo dam dobroczynności, które dla wszystkich ubogich z największym poświęceniem się wybiera składki — między ubogimi, a nawet czasem niezałuje i falygi tańcu, i wystąpienia na amatorskim teatrze, za pieniądze ubogich dla ubogich; jednem słowem, towarzystwo to słynęło w całym kraju ze swoich szczodrości, po wszystkich gazetach i żurnalach.

Udałem się więc do wskazanej kwatery, gdzie wypocząwszy i podjadłszy z pańskiego stołu, zacząłem przemysliwać jakby tu zwiedzić osobliwości tej Warszawy, a razem tyle ciemnych dla mnie zagadek rozwikłać, gdy wtém jakiś młodzieniec pociągający powierzchowności, lecz w wyrazach mający coś wschodniego, wszedł, i z nniesieniem, rzucając się w moje ręce, ścisnął je, całował końce szaty i mówił: że to jest najpamiętniejszy dzień jego życia.

Z rozrzwinięciem, z natężoną ciekawością dziecka, co słucha bajek piastunki, on słuchał moich opowiadań; w wyrazie oczu jego wyczytać było, jak wspomnienia epoki, wróżące niegdyś taką przyszłość narodowi, jak charaktery, poświęcenie, działających w ówczas osób, malowane przeze mnie, naczynego świadka, rozczulały serce i rozpały jego wyobraźnię.

—Synu! synu! wołałem, polską masz duszę; ty niepowiatałeś zdziwieniem i oziębłością starca-upiory, który, ciężary jeszcze wielkimi myślami przeszłości, zabłądził między to plemię porończe!

—Bękart! przeklęty bękart, tylu nadziei, tylu wysiłku, tylu męczeństw! i zwiścił głowę na piersi; niebo dziś niema ognistego deszczu Sodomy!

—I jakżeż to wszystko się stało? zawołałem, przerywając boleśne milczenie. Opowiedz jak nasi tułacze wrócili?

—Jak wrócili? jedni jak mogli, drudzy jak chcieli, a inni nigdy nieujrzeli już swojego nieba.

—Czy podobna?! więc częstą amnestję przyjęła?

—Gorzę! — z dzisiejszych historyków prawdy się niedowiesz; wszakże com słyszał z ust nieboszyka ojca, który w młodości swę znał pewnego starca pamiętającego owe czasy, powtórzę ci szanowny ojczu. Wiecie zapewne, jak emigracya z 1830 r. na obcej ziemi przygotowywała przyszłą reformę Polski, i jak jedni chcieli ją wskrzesić przez stary porządek, drudzy przez nowy, inni jeszcze przez nieporządek; ale wszyscy — z dobytą szablą i z gotowością przelania do ostatniej krwi kropli za nią. Opatrzność zrzadziła inaczej; zapisano kilkanaście liber papieru i na dyplomatycznę drogę, w kałamarzu, odbyła się rewolucyjna burza.

—Jako? więc gabinety rozstrzygnęły tę żywotną kwestję narodu?

—Niestety! kiedy Moskwa kusi się zająć Stambuł, Anglik i Austryak forytują na tron jednego księcia z Jagiellów; Moskal, nie łatwy do puszczania raz ujętę złobyczy, gotuje wojnę; lecz pretendent, któremu się panować nie wojować chciało, wchodzi w układy, przymierza, traktaty, i poświęca Ruś i Litwę.

—O nieba! więc dla zapewnienia sobie tronu rozerwał jedność!

—Dobrze, żeśmy i tyle utargowali; bo książę gotów był przystać na takiem królestwie, jak jego kapelusz.

—A cóż na to ta młodzież pełna poświęcenia, wiary w postęp?...

—O demokracji mówicie? smutny jęj koniec! Nowy król, nie lepszy od cara, wzbronil im powrotu; rozproszeni po świecie nigdy nieujrzeli ziemi obiecanej; sami tylko *Małsi* wrócili.

—Małsi? ! Coż to za zwierze?

—Tak zwano stronników konstytucyi 3^{io} maja.

—Tę konstytucyi, co tak mało swobód zapewniła Indowi?.. Mój boże!...

—Tę samę. Owoż na czele takich partyzantów zjawił się król Adam I zwany *restauratorem*. Szarancza ta rzuciła się zaraz na wszystkie urzędy, sinekury, starostwa, a nowy rząd zaczął tēm czy mydlić, że rozwija zasadę konstytucyi, a to przez uszlachcenie mieszczan i chłopów.

—A grunta oddanoż im na własność?

—To inna kategoria; ustawa mówi li o uszlachceniu. to też jak zaczęto co sejmu pasować na rycerzy biednych chłopów, a z nadaniem herbu odbierać grunt pańszczyzniany, który, jak dowodzono historycznie i filozoficznie, był własnością

dziedziczną panów, tak cała nowa szlachta, z kordem a boso, musiała pójść na żebry. Niedosć więc, że ich pozbawiono całej isizny, ale nadto wszczepiono dumę herbowną, a z nią lenistwo i gnusność.

— Coż za szaleństwo! któż teraz grunta obrabia właścicielom ziemi?

— Ta sama szlachta, za nędzną płacę; panowie bowiem wzięli się za ręce i ustanowili taryfę. Zład, chociaż ludność coraz się zmniejsza, a grunta niegdyś uprawnne zamieniają się w stepy, panom jeszcze dość zostaje na zbytki i fantazje.

— A fabryki? a handel?

— Fabryki?! wszystkiego dostarcza zagranica, bo tylko klasa magnatów ma na to pieniądze; co zaś do handlu, ten znieważając klejnot szlachecki utrzymuje się, jak dawniej, w ręku Izraelitów, którzy ofiarowanego sobie zaszczytu szlacheństwa przyjął niechętnie.

— Coż to, że ich niepostrzegam wcale na ulicach? czy może osobne miasto?...

— Bynajmniej; wszędzie ich pełno; zgolili tylko brody, porzucili przesady religijne, wyrobili pojęcia najdemokratyczniejsze, słowem są jedynymi reprezentantami cywilizacji w Polsce.

— Żydzi?! których my tak wieszali za szpiegostwo, za?...

— Dziś liczą się do najgorliwszych patriotów; dowodem tego usiłowania do obalenia dzisiejszego rządu, które wszakże nieudały się...

— Stary! stary! nie lepiej ci było w twoich łodach umierać w niewiedomości, niż naraz wychylać cały kielich goryczy! tak mówięm bijąc się w głowę, z której, zdawało się, że resztki włosów opadną, tak ją zgryzliwe skołatały myśli. Ale chodźmy, chcę jeszcze widzieć ten owoc nieprawości, tę formę szlacheckiego rozumu, niech się miarka domierzy; młodzieńcze! prowadź i tłumacz.

— Wejdzmy do tego kościoła?

— Dobrze, wszelki początek od boga. Jakiżto gmach ziemny! Czy nowy Esknriat?

— To jezuickie kolegium.

Kościół otwarty—wchodzim, nieszpory, ksiądz na ambonie. O czym on prawi? Słuchajmy. Text z ewangelii: *Oddajcie bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie.*—Taż sama spiewka od wieków! tylko w rozumowaniu czy większa beczelność czy bystrość, bo teolog dowodzi: że gdy wszystko idzie od boga, i od cesarza, więc to, co jest przeciw bogu czyli kościołowi, a cesarzowi czyli królowi i panom, powinno ulegać karze. Jakżeż tę karę wymierzyć, gdy zwierzchność niejest wszystkim władzącą?—oto przez denuncjację. Ależ nie jednego wstrzyma przyjaźń, związki krwi, przywiązanie między rodzinami a dziećmi, i nawzajem?—Teolog ciężar ten zdejmując ze sumienia przez powszechną absolucję dla szpiegów.

— Uciekajmy! zawołałem, tam już sklepienie się wali nad bezbożnymi głowy.

Ujrawszy się na placu pod gołym niebem, odetchnąłem; bo widok nieba zawsze, kiedy fanatyzm rzucił błotem na moją duszę, obmywał ją i pokrzepiał.

Lecz gdzie mój przewodnik? szkam go, aż oto, widzę, ucieka się przed kościołem ze zgrają dziadów i żaków kościelnych.

— Łapaj, łapaj, to heretyk! krzyczą baby.

— Kacerz! nieprzeżegnał się wodą święconą.

— Co? nieprzeżegnał? potępienie wieczne!

— Wykup się albo cię w mak rozrąbiem! krzyczeli dziady, porzucając swoje szrudła i kostury, a biorąc się do szabel.

— Wykup się! bo zaskarzam cię do ś. inkwizycji!

— Ależ moi przyjaciele!...

— Patrzenie go,—jaki mi do przyjaźni! goły jak palec, i chce się bratać z nami szlachtą!

— Wiercie mi, tylko przez zapomnienie...

— Piękne zapomnienie obrażać kościół święty!.. Nie z tych wykretów, dawaj talara, albo!...

I znowu posunęli się ku niemu wywijając szablami. Widząc go w takiej tarapacie, jużem się przybliżył, aby go powagą starości zastawić, ale on, postrzegłszy to moje poruszenie, dobył czym prędzej sztukę monety i cisnął ją między żebraków, istną kość niezgody, bo, gdy się bili o nią do upadłego, on tymczasem przypadł do mnie.

— Otoż to są ledwo nie codzienne sceny. Cała ta zgraja, katechizowana przez Jezuitów, gotowa cię żywcem spalić za najdrobniejsze uchybienie...

— Czy podobna, aby rząd pozwolił takiej tłuszczy używać broni?... Mówiłem pełen podziwu, — istny miecz w ręku szalonego.

— Z tej strony najmniej niebezpieczeństwa; są to szable drewniane.

— I na jakąż pamiętkę?

— Przywilej szlacheństwa i nie więcéj; rząd jednak podejrzliwy, obawiając się kiedykolwiek jakiego ruchu, zabronił im noszenia żelaza. Z tej małej próbki bierzcie miarę o wszystkim; wszędzie tylko pozór i blaha forma: dla wyższych najwybredniejsza etykieta, dla gminu najgrubsze przesady. Przyznaj staruszkowi, żeśmy przez lat sto z górą niepróżnowali!

— Galopujący postęp! ale cóż to za posąg nad nami? zagadłem, powstając z kamiennych wschodów podstawy, gdzie wypoczywał; jeśli mię pamięć niemyli, niegdyś stał tu Kopernik—a ten gmach naprzeciwko, to pałac Towarzystwa Przyjaciół Nauk?

— *Est locus*, miejsce tożsame, w przedmiotach tylko różnica. Torwaldsoński ów posąg naszego astronoma relegowany został do muzeum starożytności, z powodu, że Jezuiti uznali za obrażę religii stawiać publicznie posąg człowiekowi, który swemi odkryciami zadał fałsz księgom *Genesis*.

— I któż go zastąpił? czy jakiś nowy Kolumb? czy może jakiś Watt? czy który z owych demokratycznych męczenników, co szli na śmierć jak na gody?

— Przypatrzcie się mu dobrze, może poznacie, jeśli rysy pamięć wam dochowała?

— Co widzę?! ksiądz? znajomy gdzieś proboszcz! lecz to biskupie szaty? i ta twarz wcale coś niepatrzy na wielkiego człowieka...

— Ha! ha! ha! jesteście, jesteście na tropie. Cóż niepoznajecie? przecież to ksiądz Pranievicz! bard królewski; w restauracji prymas, musieliście go znać na tułactwie?

— Pamiętam! pamiętam nawet te jego wiersze, coto Białowieża puszcza, wytuszcza!... O dziwne koleje losu! A też inne figury na podstawie?

— To jedna i taż sama kategoria: dziennikarze, pieczeniarze, dworacy, posłowie, sztabowcy, co wierni byli do śmierci Najjaśniejszemu Panu, znaleźli tu swój westminster.

— Proszę! Niechże kto posadzi wielkich panów o niewdzięczność.

Kiedy tak rozmawiamy to o tem, lub o owém, uwagę moją ściągają mnóstwo karet i lektyk zatrzymujących się przed wystawą pałacu.

— Jakież to zjazd? pytam, sami orderowi!

— Dziś Towarzystwo Przyjaciół Nauk odbywa posiedzenie, a to są światła narodu.

— Prowadź mi! ciekawym naszej literatury! kto tam Mickiewicza zastąpił? kto prozę Mochnackiego? kto Lelewela w historii?

— Cierpliwości! rzekł mój przewodnik z dwuznacznym niby uśmiechem, za kilka minut usłyszycie naszych koryfeów.

Po długich kłanianiach się, bieganiu od Sasa do lasa, dostaliśmy przecie bilety do wnijścia, przez wzgląd na moją rzadką facyatę.

Gdyśmy weszli do ogromnej sali, ozdobionej w herby i posagi jakichś uczonych, o których nigdy niesłyszałem w życiu, zaimponowały mi na pierwszy rzut oka twarze kilkudziesięciu mędrców, w piętrastych perukach, pokrywających rozumne ich czaszki; podszedłszy jednak bliżej przekonałem się, że ich ascetyczna chudość więcéj w zbyt kowém życiu niż w niedospanych nocach nad książką, lub w walce jenuzu z nędzą, miała swe źródło.

Prezes Nestor literatury, górnolotnym językiem, naszpikowanym makaronizmami, kreślił mozoly towarzystwa w poszukiwaniu i sprowadzaniu starożytności egipskich, z czego wielkie dla narodu rokował korzyści. Następnie zabierali głos różni członkowie, czytając swoje rozprawy; między wieloma doktor medycyny pan X. dowiódł praktycznie za pomocą wiadomości lekarskich o istnieniu upiórów, że co wielkie oklaski otrzymał od obecnych księży Jezuitów. Chemik Z. wykrył w sposób robienia złota i stapiania dyamentów. Inny zno-

wu, praktyczny psycholog, podaje sposób odgadnienia z nazwiska, przydomku i herbu skłonności duszy i serca, dowodząc, iż te znamiona daleko są pewniejsze niż wypukłości czaszki. Inny nakoniec deklamuje usteę z poematu w 150 pieśniach pod tytułem: *Nowa Jagiellonida*.

Harmonija tych oktav tassowych tak mię oczarowała, że sam sobie w kącie porządnie zachrapał, co postrzegłszy mój przewodnik, pociągnął za rękaw i rzekł: Zmłnij się, co robisz! Zgubionyś, gdyby cię postrzegli; pewnego, co śmiał zasnąć w czasie posiedzenia, skazano na długoletnie więzienie; ci uczeni niezmiernie są obrażliwi.

— Coż pocznem?

— Wynieśmy się najlepiej do kawiarni.

— Wyśmienita rada! za jednym zachodem przeczytałem wasze dzienniki, posłuszę polityków.

— Oj! oj! widać staruszkę, że dawne czasy niewywieźraly wam z głowy.

— Alboż co?

— Oto jesteśmy, przekonacie się sami.

Wchodzim do przepysznego salonu, ściany ze zwierciadeł, kobierce tureckie, do koła sof, w środku wytryska fontanna dla chłodu, Murzyny w miękkich mesztach kręcą się jak cienie i roznoszą szербety, lalki, kawę czarną, a kilkunastu młodzieży z nogami na krzyż założonemi, z wybladłym licem, omdlałoscia w członkach, zdaje się dumać, lub marzyć, bo oczy ich przymknięte tylko czasem się otworzą, kiedy kawę lub szербet przyjdzie wychylić, lalki zażądać lub porcy opium. Dowiedziałem się bowiem z wielkim podziwem, że teryaków namoczyło się tu jak w Chinach, i że kontrabanda na opium niejest tu na mniejszą stopę zorganizowana jak w państwie niebieskiem.

— Taka piękna młodzież, zawołałem, w cóżto się obraca!

— Dla słabych dusz, a czujących, jedyne lekarstwo! ten środek wprawia ich w stan ekstatyczny; nie mając doświadczyć z przeciwnosciami, karmia się wyszukaniem złudzeniem.

— Mój boże! z takiego czerstwego, zahartowanego narodu cóż to się stało!

Na ten mój wykrzyk wielu z obecnych zwróciło z nieukontentowaniem swój wzrok na mnie, a po chwili przyszedł gospodarz Turek, i prosił, abym hałas u newszczynął.

Zamilkłem też jak ryba, i tylko kiedy niekiedy szepotałem na ncho z moim przewodnikiem.

— Więc tn nigdy nierozmawiają o polityce?

— O polityce?! taka rozmowa oddawna jest wyklętą, a nawet uieradziłbym w nią wdawać się nikomu, bo tu wszystko ma uszy.

— Przecież rozumować musi być wolno o tém, co dzienniki krajowe głoszą, a nie bez tego, by nie zawierały doniesień z zagranicy, krajowych wypadków, rozporządzeń rządu, rozpraw sejmowych?

— Mamy to, mamy; ale wszystko, co dostarcza nasz jedyny dziennik *Kronika*, jest tak blahe, tak przenicowane w duchu i sposobie widzenia pierwszego ministra, że nawet żadnych rozpraw nieobudza; zbija też niema komu, bo jeden tylko organ istnieje, a żadna opozycja nieśmie głowy podnieść choćby nawet z pokorą baranka.

— Coż robią reprezentanci narodu, posłowie, sejm?

— Alcydowe ich prace! najprzód, zjechawszy się, oddają sobie wizyty, prezentują się u dworu, otwierają sejm i zamykają; — potem przez kilka tygodni trwają balety, herbaty, wycieczki na wieś, polowania; same tylko rozprawy parlamentowe najprędzej się kończą; po odczytaniu rządowych postulatów następuje jednogłośnie *zgoda!* jednogłośnie powtarzam, odkąd kilku panów *Niepozwałam* zamknięto do wieży.

— Kubek w kubek po austriacku.

— Dzięki bogu! u nas wszystko dobrze się przyjmuje: i tureckie, i francuskie, i austriackie i amerykańskie systemata, prócz swego własnego. Otoż i *Kronika*, przekonacie się najlepiej sami.

I świeży numer *Kroniki*, który z ręk do ręk przechodził, dostał się do mnie. Czytam.

«Wiadomość urzędowa:

«Najjaśniejszy Pan przebył dzisiejszą noc spokojnie, nad rankiem dostał tylko czkawki, która jednakże, dzięki

ODDZIAŁ I.

staransom nadwornych lekarzy, przeminęła szczęśliwie.»

— Wcale nie ciekawe doniesienie!

«Okolo godziny pierwszej Najjaśniejszy Pan dawał w sypialni swojej andyencyę, w czasie której sprowadzony z Sybiru 150letni starzec został przypuszczony do oglądania oblicza królewskiego.»

«Famięta on doskonale ową nieszczęśliwą epokę powstania 1830 roku, był nawet współuczestnikiem onę, lecz nikt z dostojnych osób nie miał chęci wypytawać go o te czasy napiętnowane szaleństwem narodu dążącego do anarchii, z której go wyrwała dłoń wielkiego wskrzesiciela. — Najlepszy dowód, jak systemat naszego rządu obudza najgorętszą sympatję między najoddalniejszymi ludami, mamy w pomienionym starcu; podniesiony na godność szamana czyli księżęcą i kapłanską w pewnej hordzie Ostyaków, na odgłos naszej konstytucji i błogosławionych rządów, mimo tak podeszłego wieku porzuca swoją godność, swoich poddanych, swoje bogactwa, i pnszcza się przez śniegi i niebezpieczeństwa dalekiej drogi, aby tylko przed śmiercią oglądał swego monarchę i przyjął szlachecką akoladę. Starzec ów dziś jeszcze jest *ostdtnim chłopem w Lechii*, jutro już nim niebędzie. Wykrzyknij tryumf szczęśliwy ludu! nad wszystkimi narodami Europy, ty jeden tylko pojąłeś zasadę równości!»

— Ołóż na złość zostanę czem jestem! zawołałem, ciskając gazetę, pełen oburzenia. Co? ja szlachcicem?! ja stary demokrata, com lndem rzadził jak ojciec nie pan! Szlachcicem! kiedy jakby przekleństwo boskie czepia się każdego, co się przechrzci tēm mianem...

— Uspokój się staruszk! teraz już późno, dzień jutrzejszy da może lepsze myśli; odprowadź cię do mieszkania.

— Ależ to gwałt niesłychany! mnie robić szlachcicem, mnie piętnować?!

— Będę szukał sposobu oswobodzenia cię między moimi; pieniądze dziś więcej mogą niż kiedy; a nasi lichwiarze nie oszczędzą kosztu, skoro im powiem: kto jesteś.

— Nierozumiem, ale widzę, że masz dobrę chęć dla mnie zacy mój młodzieńcze; niechże cię uściskam.

Co uczyniwszy z całem wylaniem serca, zapytałem wchodząc do swego mieszkania.

— Teraz mi powiedz kto jesteś? kto jesteś, coś uszedł tój dżumy zepsucia i upadku?

— Do tylu niespodziewanych rzeczy, jakie widziałeś, odrzekł zagadniony, zdziwienie to będzie dopełnieniem. Nazywam się Moszkó, Izraelita!...

— Młodzieńcze, nienajgrawaj się z białych włosów! Jako, ty byłbyś potomkiem tej zgrai szpiegów, którąś na każdej gałęzi wieszali?

— Niestety! Lud ten bez ojczyzny żyje tylko interesem, wyście nieumieli w nim wzbudzić żadnego, — był więc zdrajcą.

— A dziśże wam lepiej?

— Wszystko jedno; tylko wtenczas górowaliście nad nami moralném usposobieniem i publicznemi cnoty; dziś, kiedy u was ani cnót ani moralności — ino znikczemnienie, my się podnieśli, jako jedyna protestacja raz rzuczonej myśli.

Po tych wyrazach mój przewodnik oddalił się, a ja półniewżywy padłem na łóżko. Po dziennych trndach, walkach wewnętrznych, bolesnych rozmyślaniach, sen prędko skleił powieki; zdawało mi się, że znowu byłem wolny, otoczony wierną drużyną, wprawdzie wśród lodów sybirskich, lecz z nieczepnym urokiem mojej Polski wolnej i szczęśliwej. — Byłbym przespał tak całe wieki; ale, oto dzienny blask oślnął izbę. Ktoś puka, wchodzi... O boże! zbiry!...

— Wstawaj chłopie! ubieraj się — przyszliśmy po ciebie, będziesz szlachcicem.

— Chyba trupem mi weźmiecie! krzyknąłem, porywając za krucicę. Żyłem i umrę pocziwym chłopem.

— To demokrata!!! wrzasli tak przeraźliwie, jakby sam na sam spotkali się ze stadem wilków. — Brać i wiazać!

I rzucili się na mnie, dusili piersi, wiaźali nogi i ręce.

Gdy wtém, wśród tego szamotania się, uczulem elektryczno wstrząśnienie, i ujrzałem, innemi zapewne zmysłami, staroego Pszonkę, który, widząc moje przez sen grymnasy i pasowanie się, przebudził mię wstrząsnawszy za ramiona.

— Niechcę szlachectwa! lepiej śmierć niż takie szlachectwo! wołałem już na jawie.

— Chciéj czy niechciéj! mnie wszystko jedno, odpowiesz Pszonka z największą flegmą, ale podnoś się i dawaj obiecany artykuł.

— Artykuł?! artykuł?! — zacząłem, dokończę — ale!...

— Widzę jesteś ambarasowany?

— Oto przyznam ci się Pszonciu, że ani nmaczał pióra; wczoraj spotkało się z koleżkami, i jakto wiesz.....

— Przywodziś mi do rozpacz!...

— Uspokój się; bóg mi z kłopotu wybawił, zesłał sen; widziałem królestwo na konstytucji trzeciego-maja urządzone; tylko przepisać...

— Polegam na tobie jak na Zawiszy.

ODSTĘPCA.

FANTAZJA MAURYCEGO GOSŁAWSKIEGO.

(WYJATEK).

.....
 Piękne rączki dla kochanków
 Tysiącami wily wianków;
 Wszystkie z mirtu, z róż i lauru.
 A szalenie, chcąc przynieść rozrywkę kochance,
 Chwycił za miecz i za lancę;
 A gorejąca zagłada,
 Na krwawych skrzydłach wielkiej nocy listopada,
 Spłynęła na pola Grochowa i Wawru.
 Z wielkiej myśli wielka siła
 Jak nowy świat się stworzyła,
 Orzeł groźnym meteorom
 Ulatywał przodem szyków,
 Pieśni ludów wielkim chórem
 Brzmiały polskiej czeszi śpiew,
 A śladami bohaterów
 Od Wawelu do Syhirów
 Upływała krew.
 Dwa ludy się bawili; ten wtlaczał okowy,
 Tamten zrzucal, a gradem sypały się głowy.
 I na taką rozrywkę patrzal świat jałowy
 W trwodze i zadumieniu;
 On chciał z pod polskiego cięcia
 Wyjść czystszy, poprawniejszy, niżli po stworzeniu
 Wypłynął z twórcy objęcia.
 Lecz bóg drwiąco się uśmiechnął,
 Wstyd mu było tej poprawy,
 I odrodzenia podstawy
 Skrzyżował i zwichnął.
 A krew ofiar i wielkie zmartwychwstania dzieło,
 W niezgłębiony grób Warszawy,
 Wyżej niżli z nieb runęło.

Otóż i po zabawie jakby nic niebyło.
 Śniło się coś na chwilę, lecz się już prześniło.
 A dźwięk kajdan, co na chwilę
 Ucichł był za owych dni,
 Znow tak wdzięcznie, znow tak mile,
 Znaną sercom nutą hrzmi.
 Tylko mała garść szaleńców,
 Co niewiedzieć czego chcą,
 Oblakanych potępieńców,
 Co niemają stracić co
 Oprócz siebie, w świat odłogi,
 Bóg wie, po co! na co! gdzie?
 Poszli przez rozstajne drogi
 Potępione pędzić dnie.
 Smieszni! każdy dumnie głosi,
 Że w swych piersiach kraj unosi,
 Że ta jego pierś i głowa
 Jestto arka narodowa,
 Któręj ziemia winna czesć;
 A dziś tę tulaczą głowę,
 Te świętości narodowe,
 Nagie przez świat musi nieść.

Górne cele! czesć wam! czesć!

Nudni ludzie! po co zmian?
 Tak wygodnie jarzmo nieść,

Taki dobry dał je pan!

A choć szyja na obroży,
 Choć się łańcuch w szyję wpoi,
 Nim się knut dopyta duszy,
 Tymczasem się ciało zgoi.
 Byle było pić i jeść,
 Każde jarzmo można znieść.
 A komu swój w niesmak chleb,
 Niechaj szuka cudzych nieb.

Oni poszli nieszczęśni! los ich pogał ślepy
 Na morza nieznanym, na bezludne stepy.

Bezsilnemu równe ziółku,
 Pod cudzemi płotami bohatyrskie głowy!
 Bez schronienia, bez przytułku,
 A na wolnych ich rękach i nogach okowy;
 I na każdym świata kresie
 Obaczysz gdzieś pierś tulaczą.

Nieszczęśliwi! oni płaczą
 Za tą ziemią rodzinną, której niezobaczają,
 Gdzie żaden kruk ich kości nigdy niezanieśie!
 Płaczą, a ich łzom gorzkim ni ulgi, ni końca!

Jedna ulga, górne: trwaj!!!
 I każdy z tych szaleńców jest Polski obrońca!

I każdy kocha swój kraj!

Ale tylko nie tak modnie,
 Romansowo i wygodnie,
 Jak rozliczni wielbiciele,
 Co kochali także go!
 Chorągiewki na kościele!

Jak wiatr wionął, tak się gwał.

I dziś ci na zawołanie

Dwa puhary spełni synek:

—Niechaj żyje zmartwychwstanie!

Albo: — wieczny odpoczynek!

Twoja myśl potępieńcze nad ojczyzną tkwi,
 Nad tą ziemią kochaną twoich łez i krwi.
 Po bezlistnych pustyniach każdy wiatru szum
 Brzmi ci nutą rodzinną znanych sercu dum.
 Błędna gwiazdka na niebie tém ci światłem drży,
 Jak niegdyś w oku lubej drżała kropla łzy,
 Gdy placząc cię na krwawy wysyłała bój,
 Gdyś żegnał raz ostatni stracony raj swój,
 Gdy jasną chorągiewkę zlaną łzami jej
 Przywiązałeś do lancy, a do duszy twej
 Przywiązałeś jej obraz: co jak gwiazdka czei
 W bojach i na męczeństwie przewodniczył ci.

Męczenniku! na wygnaniu

Do dziś płaczesz, ową łzą,

Jakąś płakał przy rozstaniu,

Z krajem twym, i z lubą twą!

Utul tę pierś rozdartą! daj pokój tej łzie!

Tam cię ni kraj, ni rodzina,

Ni luda już niewspomina,

Jakhy nigdy na świecie niebywało cię.

I z tém sercem, z tą duszą, jaką tęsknisz tam,

Gdybyś dziś tu zleciał sam,

Świat twój myśli, co go żegnał,

Co dziś żyje w twojej łzie,

Jak upiora przeszłości krzyżemby przeżegnał,

I jednymby uśmiechem okamieniał cię.

O! pozostał lepij tam,

Wszakże tutaj byłbyś sam!

A step pusty jak pierś twa

Przedzj sercu ulgę da.

Rok w rok w stepach tam odłogich

Wędrujący klucz żurawi

Z Polski twojej, gości drogich,

Niezawodnie ci się zjawi.

A widok ukochanych spojrzaniem niechętnym,

Zimnym słówkiem, uśmiechem, sercem obojętnym,

Pewno serca niezakrwawi.

A z temi żurawiami tak miło czas płynie

Na samotnej pogadance,

O Polsce nieszczęśliwej, o drogi rodzinie,

I droższj od niej kochance.

I tak dwa razy corocznie

To odbierzesz, to dasz wieści;

I dwa razy myśl twa spocznie

W kraju twojej radości i twojej hołści.

I zawsze ci klucz żurawi

Miłą sercu wieść objawi.

Że ród twój i Polska cała
Wraz z wyjściem cię zapomniała,
A luba dobrze się bawi!!!
Nietroszcz się o jej zdrowie, zdrowa i wesola!
Widziały ją żurawie: wracała z kościoła,
Gdzie u stopni ołtarza, wieczystymi śluby,
Dłoń i serce twej lubej inny zajął luby.
A twoi przyjaciele, co družbami byli,
Za zdrowie nowożeńców trzy dni z rzędu pili.

.....

MŁODZIAN. Jakżeż mię dręczysz boleśnie!
MĄŻ. Ja? Ciebie? przepraszam! niechący!
Słuchaj! ja cię znam,
Tyś Zdzisław!

MŁODZIAN. Tak.

MĄŻ. Więc ten sam.
Czekaj! ja cię pocieszę; tyś chciał z Polski wieści!
Ważne rzeczy! i bardzo zajmującej treści.
Tam ciebie wspominają, bardzo wiele osób;
Ci czule, ci poważnie, każdy na swój sposób.
Byłem świadkiem tylekroć, a na jednym balu,
Pomnę, byłeś przedmiotem ogólnego żalu.
Było bal chrześcijański, gdzie podług zwyczaju
Grano w karty, tańczono, radzono o kraju,
I jakby w dzień zaduszny grzmiał puhar godowy —
—Kaznodzieja radości:—Cześć polskiej odwagi!
Cześć tych, co pod Warszawą położyli głowy!
I wieczny odpoczynek męczennikom Pragi!
Mówiono o bohaterach,
Co polegali, co zostali,
I o tych, co wśród obcych oczy wyplakali,
I o tych, co ofiarą jęczą po Sybirach!
Wesołe exekwije! pobożna zabawa!
Nakryto stolik, wesła herbata i kawa,
A z nią dalszy ciąg wspomnień, to klęsk, to nadziei.

I niepomnę, ktoś z kolei
Przypomniał Zdzisława.
—Zdzisław!!! z żalobnym wszyscy powtórzyli szmerem,
I tyś jeden rozmowy został bohaterem,
—Ach! jak on pięknie tańczył! powtórzyły panie,
Jak śpiewał, a jak mile grał na fortepianie!
—Czy pan nieznał Zdzisława?... Z piękniemi oczyma
Z cichszym nieco westchnieniem zapytała Lima.
Biedny!!!—Czy zginął w boju?...—Nie! ale zapewne
Gdzieś tuła się wygnaniec!...—Czyś pani mu krewna?
Czy tak dobra znajomość?...—Nie! odpowiedziała,
I spojrzała na pierścień zrumieniona cała.
Pojąłem tajemnicę. Wtém na drugiej sali
Przypadkiem, czy umyślnie, matura zagrali.

MŁODZIAN. Jakiż koniec tych dziejów?

MĄŻ. O! bardzo ciekawy!

To było na początku, a w końcu zabawy,
Ten zakład sercu lubej drogi bez wątpienia
Był już na mojej ręce. O! tego pierścienia
Niekupilibyś ode mnie i kosztem zbawienia.
Oddając mi go, rzekła: Tę pamiętkę drogą,
Co mi zawsze była miła,
Panu tylko dać mogę, więc dla nikogo
Tegobym niezrobiła.

MŁODZIAN. Niewdzięczna!

MĄŻ. I owszem, pamięta

MŁODZIAN. Pamięcią uroczystą od wielkiego święta.
MŁODZIAN. Bezbożny! Tyś mi wydał tę własność jedyną,
Którą uniosł z ojczyzny, te słodkie złudzenia,
Tę wiarę, tę pociechę.

MĄŻ. Szkoda bez wątpienia!

O cóż jeszcze spytasz tam?...
Ja tam wiele osób znam,

Znam całą twą rodzinę. Starsza siostra miała
Właśnie przed mým odjazdem wyjść za generała.
Tatar rodem, lecz wcale nieznac w nim Tatara,
Bo dostał tytuł grafa za szturm przy Warszawie.
A o młodszą kozacki pułkownik się stara;

Rzecz skończona prawie!

Rosną domu zaszczyty i blask się podwaja,
Ojciec dostał przed śmiercią krzyż od Mikołaja,
Brat Karol, jak slyszalem tyle drogi ci,
Niemógł służyć krajowi, a przyczyna ta,
Że pleć delikatną ma;
A kraj niema prawa żądać poświęcenia płci.

Jednak dla zwyczaju
Emigrował z kraju
Na drugą stronę Zbrucza, ale z końcem wojny
Powrócił z Galicji i jest już spokojny.
Wrócił, gdy ojciec był na śmiertelnym łożu;
Tkliwy ojciec na życia i śmierci rozdrożu
Uległ głosowi serca i twojemu bratu.
Brat posiadał w całości
Wielkie rodu zaszczyty i rozległe włości
Prawem majoratu;
A ty, żeś się w spisie buntowników liczył,
Ojciec cię i z imienia i z praw wydziedziczył.

BARASZKI.

Mówią, że między Turkiem a Egipcjaninem przyjść może do wojny. Arystokracja polska, coto z każdego zdarzenia korzystaby rada, posłała sultanowi Chrzanowskiego, a bazy gotuje się wyprawić Skrzyneckiego. Krok arcy dyplomatyczny, na wzór Zamojskiego, coto sam pojechał do Petersburga a synom pułki rewolucyjne sztylować kazali. Wygra Turk: To nasz Chrzanowski pobił Ibrabima; cześć Chrzanowskiemu! Wygra Egipcjanin: To nasz Skrzynecki pobił zastępy sultana; niech żyje bohater Skrzynecki!...

—Dziwną rzecz zwiastują dzienniki. Zwierzęta-konie zrobiły rewolucję w Rosyji, i byłaby się im pewnie udała, gdyby zwierzęta-ludzie przeciw koniom niebyły wystąpiły. Rzecz się tak miała. Jechał car, caryca i caratka w jednym powozie do Pawłowska; wtém rozhukały się konie, pędziły wiatrem, i chwila tylko, a świat byłby się pozbył kilku ohydnych potworów. Lecz oto sześć sztuk oficerów wyskakuje skąd naraż, rzucają się na konie i zatrzymują je w biegu. Car ocalaony, a oficerzy obsypane orderami, tytułami, rublami. Utrzymują wszakże niektórzy, że hylato komedijka odegrana z rozkazu samego cara.

—Korsarz francuzki pisze, że apoloż Lafontena: *Osiół, pan jego i szarlatan*, przestał być bajką od czasu, jak uniwersytet oxfordski pasował carewiczka moskiewskiego na dostojność doktora.

—Pewien hrabia urodzony w Polsce, gdzie, jak świadczą barbarze, długo hrabiów niebyło, przyszedł po kilkoletnim pobycie we Francji do ważnego w chemii przemysłowej odkrycia. Dowodzi on, że galwanizm jak chroni od rdzy i zepsucia cynk i żelazo, tak niszczy i pożera złoto i srebro. Próby na dwóch pierwszych metalach były nieliczne i dotąd wątpliwe; na dwóch drugich przeciwnie tak rzęśte i dokładne, że w przeciągu kilku miesięcy znikło z pod galwanizowanych ryglów przeszło kilkakroć sto tysięcy franków. Francuzi, których ten wypadek zbliża obchodzi, nazywają hrabiego flaglarzem. Panowie nasi, chociaż srodze podcięci, widzą w nim niepospolitego chemika i finansiste. Pierwsi grożą mu kodeksem karnym, drudzy zbierają składkę dla zakupuienia sekretu... nieznanego dotąd w dziejach przemysłowości polskiej.

—P. Karol z Kalinówki, alias Sienkiewicz, w książce pod tytułem: *SKARBIEC*, wydaje materiały do dziejów polskich. Z pierwszego tomu dowiaduje się czytelnik, że Pozzo-di-Borgo mówił Alexandrowi: —Po co odbudowywać Polskę?... Po co dawać konstytucję?... Po co sztylować wojsko?... a SKARBIEC wydrukował te wszystkie zapytania Pozzo?

—Nie wszystkim może wiadomo, że *Towarzystwo literackie* sporządziło wielką *Księgę-pamięci*, w której zapisuje wierszem i prozą wszelkie fakta mające jakikolwiek związek z losem emigracyi. Aby dać wyobrażenie, w jakim stylu i jakie wypadki czytać będzie potomność w owej księdze, przytaczamy następującą inskrypcję świeżego nieszcześcia na dworze króla babińskiego:

Placzcie małe amorki, płaczcie alcyony!
Nos najbujniej wyrosły, najpiękniej zgarbiony,
Skacząc do wody, która brudny Paryż pierze,
Książką ułamało na swym guwernerze.
I ta ozdoba niegdyś przesliczna oblicza,
Na pamiętkę złożona w skarbcu Sienkiewicza.

Jeden z redaktorów powyższej książki chciał, aby wyraźniej powiedziano, że nie książką na guwernerze, ale guwernerowi nos ułamało; dla piszących bowiem później historję, może być wątpliwość, czyj się nos złamał, książką czy guwernerem?... ale odpowiedziano, że *superlativus* zaradzi wszystkim, gdyż jeden tylko może być w emigracyi *nos najpiękniejszy*, a potomność, która z *Księgi-pamięci* najmniję szczegóły o emigracyi wiedzieć będzie, niewpadnie w żadną wątpliwość.

—Co za oziębłość? Romans *Kirdżali*, tak pięknie, tak wier-

nie przez Polaków na francuski język przełożony, nieznalazł dotąd we Francji czterech czytelników! A jednak tam tyle świeżych scen, tyle oryginalnych pomysłów? A jednak w tłumaczeniu konie jenijskiego Czajkowskiego siedzą sobie w powozie, a powóz gładko i równo się toczy po kolei *niczego*. I można jeszcze wierzyć w sympatyę Francuzów?...

— Czajkowski zrobił! — Co? — Szkołę, jak się wyrażają Francuzi, a z tej szkoły wyszło już dzieło pod tytułem: *Moje wspomnienia*, gdzie autor jaś. wiel. poseł i żołnierz (Jełowicki Alexander) wiernie naśladując swego mistrza, pisze: »Uderzył — czyż mn się iskrzą — usta pienia — schylił się — skoczył — już po wrogu — wykopał mogiłę — rzucili ziemią — trup spi — twarz jego groźna — oczy wytrzeszczył — ale trup już niewidzi — już niestety...« (Szczegółne odkrycie! Co to jednak może jenijsz?!...) Lubię ten styl! woła Redaktor *Tygodnika-Poznanskiego*, podziwiam ten styl!... bo to tak właśnie jakbym jeździł po bruku dryndulka bez resorów (konni jenijskiego Czajkowskiego). Tento styl musiał się objawić Kamińskiemu, gdy we swoich sonetach pisał:

Okropny powóz jeździ w mojej duszy,
Turkoce strasznie.

Okropny, czy nieokropny, mniejsza oto! Arystokracja emigrancka cieszy się, że w braku lepszego znalazła choć taki na swoje usługi.

— Pismo Polak gniewa się na *Demokratę polskiego*, że w polemice przeciw *Zjednoczeniu* używa płaskich zarzutów. I słusznie! bo poco *płaskie* przywołać zarzuty, kiedy tyle jest *grubych*?

— Ktoś twierdził, że *Zjednoczenie* nie jest loiczne. Ale jest ortograficzne, przerwano z boku, bo się składa z -(łączników czyli jednoczycieli) i z » cudzysłowów czyli członków bez własnego zdania), a w całości jest? (znakiem zapytania czyli niewiedomo czemu).

— Niedawno w jednym z zakładów naszych zjawił się Żyd polski. Żeby i dobrze i godnie przyjąć gościa-izraelitę, zaprowadzono go na tak zwane ogólne zgromadzenie zakładu. Rozprawiano o *Zjednoczeniu*, i było wiele hałasu i wrzasku. Zapytany Żyd, czy mu się sejm emigracyjny podoba? Ny!... czemużby się niemiał podobać, kiedy tak do żydowskiego nabożeństwa podobny; ja sobie myślał, że jestem w żydowskiej szkole.

Traf zdarzył, że w parę dni potem przyciągnął do zakładu *komiwojażer Zjednoczenia*. Z przeproszeniem wielmożnych państwa, spytał Żyd, coto znaczy *komiwojażer*? — To samo, co u nas *faktor*, odpowiedziano. Żyd pokręcił głową, poglądził brodę, i zamyslił się głęboko. Spytany coby myślał? — Ny!... ja myślę sobie, co nasze biedne Żydki robić będą, jak te *komiwojażery* do Polski wrócą?...

KORRESPONDENCYA TELEGRAFICZNA

z Waryja.

PSZONKARZE!

Rzecz jest i piękna, i chwalebna, i pożyteczna, pisać o tém, co emigracja robi, co myśli robić, coby zrobiła gdyby nie była emigracją, co wreszcie już zrobiła, i na jakim łożu z laurów spoczywa, pałac fajkę. Bo trzeba dodać, że emigracja cała pali fajkę, a pewna część z niej od jakiegoś czasu zapala ją numerami Pszonki, przez zemstę, dla lepszego smaku. Oj! bo téżto hardzo miła rzecz palić swe nieprzyjacioly! Dziś niektórzy palą pisma Pszonki, a tajemnie wzdychają, i szlą modły gorące, aby przyszedł czas, w którymby i sam Pszonka smół obłany, i postawiony za pochodnię, trząskal jak gałąz wilgotna przed gankiem konstytucyjnego króla babińskiego. Nieboszczyk Neron wymyślił ten rodzaj rewerberów, który zapewne i przez króla babińskiego przyjętym zostanie. Mówią jednak, że wy Pszonkarze niedoczekacie się tych szczęśliwych czasów, że wasz koniec niedaleki. Nawarzyliście sobie piwa; nosił wilk owce, ponieśli i wilka. Bę niedość, że *Młoda-Polska* owo naczynie dziwnego nabożeństwa, ekomunikowała was jako opętanych, ale oto i *Towarzystwo-literackie*, owo konserwatorium inkunabulów rewolucyjnego umiarkowania i mądrości, walny zrobiło zamach na wasze życie. Niebędzie zaś to ani machina pickielna, ani sztylet, ani trucizna, ale gorsze nad to wszystko — artykuł *Towarzystwa-literackiego*. Ten pęk piorunów już jest w objęciach *Kroniki*, już się drukuje. A ile kosztował towarzystwa mozółu, ba, nawet pieniędzy, dowiecie się z następnego protokołu sesji *Towarzystwa*, który wam w odpisie wierzysłnym przesyłam:

Wyciąg z protokołu *Towarzystwa-literackiego-babińskiego*:
«A najprzód z polecenia Towarzystwa zapisano do *Księgi-*

pamięci, iż w towarzystwie tém objawiły się symptomata nie-spodziewanego dowcipu, z okazji obioru carewiczki Alexandra na członka akademii, oxfordzkiej, o którym pewien jowialny członek powiedział: iż *obraną został doktorem prawa człowiek z kraju, w którym niema prawa*. Na ten pelen atyckiej soli kalambur całe towarzystwo poważnym zakrzusilo się śmiechem. Owóż z powyższego trafu urosł następujący dodatkowy artykuł do praw organicznych, niemniej dowcipnej treści: — Ponieważ zdarzyć się może i nadal wypadek dowcipnego wyskoku w towarzystwie, ustanawia się zatem od każdej podobnej myśli opłata po jednym sous, przez wszystkich członków składana, nie na rzecz redaktora dowcipu, ale na zysk kasy towarzystwa wypróżnionej przez dotychczasowe nie dowcipne lecz dyplomatyczne usiłowania, któryto artykuł dodatkowy jednomyślnie, mniżej jedną kreską p. Antoniego Goreckiego, przyjęty został. Albowiem ów bajkokleta, nietylko że położył swoje veto, ale nadto z towarzystwa wystąpił, dając dwie przyczyny — raz: że dowcip powinien się tylko ukrywać w bajce pod postacią osła lub cielęcia, i powtóre: że przy rosnącej coraz manii dowcipowania w towarzystwie, podobna expens przyprawiałaby o ruinę, i tak już zrujnowanego człowieka.»

«Pożno przybyły, więc niewiedzący o powyższém prawie kolega (Oleszczyński rytownik) a niegdyś wydawca Pszonki, owegoto Pszonki, co jeszcze w pierwszym roku emigracji w dwóch numerach był wyszedł; ten Pszonka prawdziwy i sam tylko Pszonką będący, przeczytał gniewny i zabójczy na pseudonima a terazniejszego Pszonkę artykuł, a towarzystwo dostrzegło w nim rzeczy arcy-dowcipne, wyciągające, podług świeżo przyjętego prawa, surowej od członków opłaty, która też zaraz złożoną została w ilości 32 sous, bez żadnej frakcyi. Autor artykułu oświadczył, iż gdyby był wiedział o nowém prawie, hylby nakładł więcej rzeczy dowcipnych, i już sięgał ręką po susy, ale szanowny prezes przestrzegł, że stosownie do zapadłego prawa susy są własnością kasy towarzystwa, większa zaś dozys dowcipu niezagadzałaby się z redakcją *Kroniki*, która ma styl ciężki, i wymagający wielkiej w dowcipie ekonomii. Pszonka prawdziwy, autor rzeczonoego artykułu, zwrócił uwagę towarzystwa na jeden frazes swojego pisma, który mniemał być głównie dowcipnym a broniącym silnie arystokracji, a który mówi: że arystokratami niesą ci, których nazywają arystokratami, ale ci, którzy się nazywają arystokratami a są demokratami. Nad którymto frazesem zastanowiwszy się towarzystwo, dostrzegło w nim sens ukryty głęboko, i przyznało autorowi wielką precyzję w redakcyi. Na poparcie tej decyzji towarzystwa jeden z członków przytoczył podobne wyrażenie się Grodka, sławnego niegdyś profesora akademii wileńskiej, który z niemiecka tłumacząc się po polsku, gdy mu chodziło o wykazanie uczniom, że Plautus w komedyi swojej mówi o świni nie zaś o wieprzu, dał podobną definicyę maciorzy: Nie jestto ten szwijn, coto szwijn, ale ten szwijn, coto ma szwijn; a uczniowie zaraz pojeli, że mówił o matce prosiąt.... Nastąpiła deliberacya czyli to zbliżenie dwóch powyższych frazesów ma uleść nowej susowej opłacie? ale powszechne było zdanie, że towarzystwo już się nad możność swoją wyexpensowało. Po skończeniu tej dyskusyi posiedzenie zamknięte i odroczone do jesieni.»

Tak więc *Towarzystwo-literackie* rzuciwszy na Pszonkę pioruny samo się na trzy miesiące zawiesiło — dla wytchnienia. Członkowie jego, a trzeba wiedzieć, że wszyscy są bardzo sentymentalni, jedni na dębach lasu S. Germain karhują cyfry, jak Erminija Tassa, co na drzewiach wycinala słodkie abiecadla,

A te czytając wzdychała i bladła; inni w pasterskich kapeluszech, z huletami w rękę, zapuszczają się w głębie lasów, i pograżają się w tajemniczych dumaniach, lub uganiają się za pierzchliwemi motylkami; a kiedy te umkną przed ich dłonią, stają zadumieni, i mówią: O hoga! tylko nie była smutna przepowiednia, że tak i Pszonka nieda się nam schwytać!!!

Braterskie służby,

PSZONKA NADAL RAZ NA MIESIĄC BĘDZIE WYCHODZIŁ. DLA CZEGO? BO PSZONKA-EMIGRANT DO FRANCUSKICH PRAW O UZIENNI-KARSTWIE W TEN TYLKO SPOSÓB ZASTOSOWAĆ SIĘ MOŻE; NIKT WSKAZJE STĄD ŻADNĄJ NIEPONIESIE STRATY, BO PSZONKA NADAL NIE W PÓŁARKUSZACH JAK DOTĄD, ALE W ARKUSZACH WYCHODZIĆ BĘDZIE.